

Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo
w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2013

www.zielonasowa.pl

Kłopoty
w
NOWYM
JORKU

Kłopoty
w
NOWYM
JORKU

SYLVIA BISHOP

Zilustrował Marco Guadalupi

Przełożyła Barbara Górecka

**ZIELONA
SOWA**

Tytuł oryginału: *Trouble in New York*
Tłumaczenie: Barbara Górecka
Redaktor prowadzący: Joanna Liszewska
Korekta: Maria Mazurowska
Opracowanie graficzne okładki, skład i łamanie: Norbert Wencel

First published in the UK by Scholastic Ltd, 2019
Text © Sylvia Bishop, 2019
Illustrations © Marco Guadalupi, 2019
© Copyright for the Polish edition by
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., Warszawa 2020
All rights reserved.

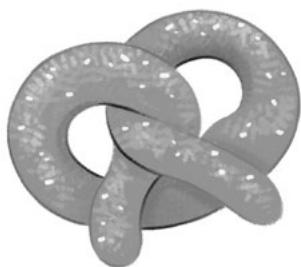
Wydanie I

ISBN 978-83-8154-624-9

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94
tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51
wydawnictwo@zielonasowa.pl
www.zielonasowa.pl

*Dla fantastycznej łodzi 9a
i wszystkich, którzy nią żeglowali*





CZYTELNICY POZNAJĄ NOWOJORSKIEGO GAZECIARZA

Zanim Jamie Creeden zaczął samodzielnie pisać wiadomości, wcześniej dostarczał je ludziom.

Budził się codziennie przed świtem, gdy było jeszcze zupełnie ciemno, a mama smacznie spała, i robił sobie śniadanie. Wyruszał w tej ciemności na rowerze do sklepiku Lou Moona po paczkę gazet. Powoli się rozwidniało, a on pędził szerokimi ulicami, odważnie pokonując ostre zakręty, i dostarczał „Morning Yorkera” do kamienic i domów szeregowych w Brooklynie, dzielnicy Nowego Jorku.

Pedałował zawsze tak szybko, jak tylko mógł. Jeśli udało mu się trochę wcześniej skończyć pracę, miał czas,

żeby kupić ciepłego precla z wózka stojącego obok szkoły, przysiąść opodal na murku i od deski do deski przeczytać egzemplarz „Yorkera”. W razie deszczu lub śniegu właściciel wózka pożyczał mu wielki czarny parasol, żeby płachta gazety nie zamokła.

Kiedy rozbrzmiewał poranny dzwonek na lekcje, Jamie wiedział już o wszystkim, co wydarzyło się na świecie. Wiedział, o czym mówiło się od Teksasu po Alaskę i co działo się od Rzymu przez Rosję po Rio. Gdy pochłonął już te wszystkie informacje (oraz ciepłego precla), Jamie czuł, że wynik dzielenia osiemdziesięciu jeden przez dziewięć, pisownia nazwy M-I-S-S-I-S-I-P-I lub opinia Bruce’a Rankina o jego fryzurze mają niewielkie znaczenie.

Nauczyciele Jamiego życzyliby sobie oczywiście, aby przywiązywał on nieco większą wagę do wyniku dzielenia osiemdziesięciu jeden przez dziewięć. Mimo to zrezygnowali z prób wzbudzenia w nim entuzjazmu do arytmetyki. Jamie Creeden nie zamierzał zajmować się liczbami. Jamie Creeden będzie kiedyś pisał wiadomości.

Jamie zawsze był tego pewien, mimo że pisownia trudniejszych słów sprawiała mu czasem kłopoty i nikt z jego rodziny nie nosił eleganckich garniturów

i wyglansowanych butów jak reporterzy, których tak podziwiał.

Jamie i tak wiedział swoje.

Oto opowieść o tym, jak – raczej nieoczekiwanie – okazało się, że miał rację.



GAZECIARZ POZNAJE BOHATERA

26 czerwca 1969

Był koniec czerwca. Miasto pociło się obficie, a perspektywa długich wakacyjnych dni złociła się na horyzoncie niczym ciepłe letnie wieczory. Była to ulubiona pora roku Jamiego.

Dzisiaj – jak i każdego innego dnia tego lata – planował zrobić trzy rzeczy:

1. Rozwieźć „Morning Yorkera” i przeczytać nowe wiadomości.
2. Poszukać ciekawych wiadomości i opisać je na konkurs na Młodego Reportera Roku.
3. Pójść do lokalu Pepe i obejrzeć wieczorne wiadomości o dwudziestej pierwszej w programie *Dobranoc, Nowy*

Jorku (popijając przy tym koktajl mleczno-czekoladowy).

Jamie miał dużo do zrobienia, więc zanim obudziły się słońce i miasto, pedałowal już do sklepiku Lou Moona po paczkę gazet.

Nauczył się zwalniać przed sklepikiem Lou, zsiadać ostrożnie z roweru i bezszelestnie wchodzić do środka. Po wielu próbach nauczył się także przytrzymywać drzwi, żeby nie trzasnęły. Wszystkie te środki ostrożności zdały się jednak na nic, bo dzwonek nad wejściem nieuchronnie brzęczał *din-don*.

– *Din-don* – mruczał pod nosem Lou. – Brzęczy, zawsze brzęczy o świcie. Ten chłopak nie szanuje uszu starego człowieka. – Lou wiecznie pomrukiwał. Od długich lat mamrotania opadały mu kąciaki ust, ciągnąc za sobą wąsy, a długi nos zwieszał się nad nimi jak markiza.

– Dzień dobry – przywitał się Jamie.

– Dobry? Czyżby? – odparł kwaśno Lou i kichnął ponuro.

– Na zdrowie.

– Na to już za późno – stęknął sklepikarz. – Zdążyłem już zachorować. Perry także jest chory. Zadzwonił przed chwilą z wiadomością, że zostaje w łóżku. Szkoda, że ja

nie mogę sobie poleżeć. – Potrząsnął głową i powtórzył smutno: – Za późno.

Jamie przytaknął ze współczuciem, ale wcale nie myślał o Lou. Jego myśli zaprzętał teraz Perry, chłopak, który tak jak on rozwoził gazety.

– Kto rozwiezie dziennik na tej drugiej trasie?

Lou wzruszył ramionami. Kichnął, siąknął żałośnie nosem i odparł:

– Nikt.

– Ale jak to? – obruszył się Jamie. – „Yorker” jest zawsze punktualny!

Tak rzeczywiście było. Z licznych tablic reklamowych w mieście spoglądała uśmiechnięta twarz wydawcy gazety, Harry’ego Hoopera, a wielkie czerwone litery głosiły: „ZAWSZE PUNKTUALNIE. CZĘSTO TRAFNIE”. Była to obietnica: można polegać na tym, że codziennie o 7.30 znajdzie się na wycieraczce najświeższą gazetę. To stanowiło o jej sukcesie. Dzienniki telewizyjne zyskiwały rosnącą popularność, sprzedaż prasy w całym kraju malała, za to „Yorker” był popularniejszy niż kiedykolwiek przedtem; na zeszłoroczną Gwiazdkę Harry Hooper osobiście rozesłał czekoladowe batoniki wszystkim gazeciarzom

i gazetciarkom, w podziękowaniu za punktualne dostarczanie pisma.

Sklepiarz Lou wzruszył obojętnie ramionami.

Mózg Jamiego pracował na przyspieszonych obrotach. Los „Yorkera” głęboko go obchodził, a ponadto dwie trasy oznaczały podwójny zarobek. Chwycił drugą paczkę gazet i zawołał, że chętnie rozwiezie je za Perry’ego.

Lou zrobił wielkie oczy. Entuzjazm Jamiego wprowadził go w zadziwienie. W tym chłopaku dziwiło go zresztą wszystko – od niewytłumaczalnej porannej energii poczynając, a na zdumiewająco rudej czuprynie kończąc.

– Jasne – powiedział. – Jak tam sobie chcesz. Nie mam pojęcia, dlaczego ci na tym zależy. – Namyslał się jeszcze chwilę i podsumował: – Dziwny dzieciak z ciebie.

Jamie nie dosłyszał już tej oceny. Wybiegł ze sklepu po „jak tam sobie chcesz”, bo rzeczywiście c h c i a ł, a nie było chwili do stracenia.

Własną trasę pokonał w rekordowym tempie, ciskając gazety na werandy jak karabin maszynowy, pokonując zakręty z piskiem opon i wznosząc obłoczki pyłu zalegającego na chodnikach. Rzucił ostatnią gazetę i pognął, popiskując oponami i wzniesając kurz, na trasę Perry’ego.

O tej porze pojawili się już pierwsi spacerowicze z psami. Jamie nie znał dobrze drugiej trasy, więc poruszał się wolniej, zatrzymując się, żeby sprawdzić listę otrzymaną od Lou. Przypadkowo też cisnął gazetą prosto w głowę biegacza i musiał przystanąć, kajając się i przepraszając.

Pod ostatnim domem znalazł się o 7.32, co nie było wcale złym wynikiem. Była to bogatsza część dzielnicy, z domami ciągnącymi się wzdłuż nabrzeża. Stały tu okazałe wille ze starannie przystrzyżonymi trawnikami, z widokiem na zamgloną o tej porze dnia Staten Island* po drugiej stronie zatoki.

Ostatni dom był największy, z najstaranniej wypielęgnowanym trawnikiem. Jamie cisnął triumfalnie gazetę i stał, zdyszany i spocony, opierając się o wysłużony rower. Od całej tej porannej szarpaniny i pośpiechu było mu trochę niedobrze, poczerwieniał jak dojrzały pomidor.

Zajęty łapaniem oddechu, przymknął lekko powieki. Nie usłyszał, że drzwi się otwierają. Nie zauważył, że ktoś wyszedł przed dom, podniósł gazetę z trawnika

* *Staten Island* – jedna z kilkunastu wysp, na których położony jest Nowy Jork.

i obserwował go w milczeniu, z przechyloną głową i namysłem w oczach.

– Nie jesteś tym chłopakiem, który codziennie przywozi mi gazetę – powiedział ten ktoś.

Jamie spojrzał w stronę domu, otwierając usta, żeby odpowiedzieć, i skamieniał. Przed domem stał nie kto inny jak sam Harry Hooper, wydawca „Morning Yorkera”. Miał na sobie pasiasty szlafrok.

– Spóźniłeś się dwie minuty – powiedział.

Nie podniósł głosu – nie musiał. Z samej jego postawy wynikało jasno, że jest kimś naprawdę ważnym. Podmuchy wiatru szarpały połami szlafroka, ale w niczym nie ujmowało to godności mężczyzny.

– Gazeta nie może się spóźniać – wyjaśnił, nie kryjąc łagodnego rozczarowania. – To bardzo ważne. To jedyna rzecz, na którą bardzo nalegam.

– Tak... proszę pana... ale... Perry... jest chory – wysapał Jamie. Wciąż jeszcze brakowało mu tchu, więc zabrzmiało to raczej jak: „Taszpana, leperyjesy”.

Harry Hooper przechylił z namysłem głowę w drugą stronę.

– Nic ci nie jest, chłopaku?

Jamie zaczerpnął spory haust powietrza i udało mu się w miarę składnie odpowiedzieć.

– Zasapałem się, proszę pana. Zrobiłem dzisiaj dwie trasy.

– Dwie trasy? Ale dlaczego?

Jamie wyjaśnił najlepiej, jak umiał, czując pieczenie w płucach. Harry Hooper stał przez cały czas z przechyloną głową. Kiedy Jamie skończył wyjaśnienia, wyprostował się i uśmiechnął z sympatią.

– Jestem ci, chłopcze, winien przeprosiny – powiedział. – Niepotrzebnie udzieliłem ci reprimendy. Okazuje się, że jesteś bohaterem dnia.

– Dziękuję – wysapał Jamie, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Odzyskał już zdolność mowy i zaświtało mu, że los daje mu nieoczekiwanie wielką szansę. Stoi oto przed obliczem najpotężniejszego człowieka w branży prasowej. Człowieka, który ma nieograniczony dostęp do uszu wszystkich ważnych ludzi: prezydenta, burmistrza, komendanta policji. Który redaguje bardzo popularną w Nowym Jorku gazetę codzienną i jest panem i władcą reporterskich karier. A on, Jamie,

mógłby z nim właśnie teraz porozmawiać, ale jak dotąd tylko ciężko dyszy.

Czasu zaś było coraz mniej. Chłopak, jak we śnie słyszał, że Harry Hooper dziękuję mu, że okazał się tak solidnym i obowiązkowym gazeciarzem, i odwraca się, by odejść.

– Jestem nie tylko gazeciarzem, lecz także reporterem, panie Hooper – zawołał prędko (i trochę zbyt głośno) Jamie. – Założyłem gazetkę szkolną. Nosi tytuł „Tuba z Bay Ridge”. Zamieszczam w niej wiadomości lokalne, ale prowadzę także śledztwa reporterskie i streszczam wiadomości ze świata, niektórzy sąsiedzi chętnie ją czytają i... – Postanowił skoczyć od razu na głęboką wodę. – Chciałbym kiedyś pracować dla „Yorkera”.

– O, miło mi to słyszeć! – odrzekł Harry Hooper, parskając śmiechem. Śmiał się tak jeszcze przez chwilę, a kiedy skończył, Jamie wręczył mu wyjęty z torby egzemplarz „Tuby z Bay Ridge”. Redaktor zajrzał do pisma i jego twarz spoważniała. Zaczął powoli przewracać stronicę.

– Hm – orzekł na koniec. – To jest całkiem niezłe.

Jamie wydał nieartykułowany dźwięk, mogący oznaczać „dziękuję” lub cokolwiek innego.

– Naprawdę nieźle to wygląda, chłopcze – stwierdził wydawca i oczy mu się zaświeciły. – Powiedz, czy chciałbyś kiedyś przyjść do siedziby „Yorkera” i obejrzeć pomieszczenia redakcyjne? Poznałbyś kilku reporterów, co?

Jamie gapił się na niego z taką miną, jakby ujrzął Świętego Mikołaja. W czerwcu. W pasiastym szlafroku. Potem przypomniał sobie, że jednak umie mówić.

– O tak! Bardzo chętnie. Proszę! Tak.

– Świetnie. Doskonale. Może wezmę od ciebie numer telefonu i zadzwonię, żeby się umówić? – Harry Hooper wyjął pióro wieczne z kieszeni szlafrocka i podał Jamiemu razem z gazetą.

Starając się pisać najładniej, jak umiał, Jamie zanotował na górnym marginesie gazety swoje nazwisko: JAMIE CREEDEN (GAZECIARZ), adres i telefon.

– Świetnie – powtórzył redaktor, wkładając „Yorkera” pod pachę. – Skontaktuję się z tobą. Wracaj do domu i dobrze odpocznij. Zasłużyłeś.

– Dziękuję, panie Hooper – odrzekł Jamie.

– To ja ci dziękuję. – Mężczyzna uniósł rękę na pożegnanie i wrócił do domu.

Jamie patrzył jeszcze przez chwilę na miejsce, gdzie stał wielki redaktor. Potem triumfalnie wznosił pięść w powietrze, wskoczył na rower i szczęśliwy, pognął przed siebie.

Dzień nie mógł się lepiej zacząć, a przecież Jamie nie uporał się dotąd z pierwszym punktem planu. Musiał jeszcze przeczytać wiadomości w gazecie, napisać własne i obejrzeć wieczorne podsumowanie dnia w telewizji. Najpierw jednak powinien zajrzeć do domu. Po drodze wpadał zazwyczaj do pani Darling; pomagał jej trochę w ogrodzie, ona zaś pozwalała mu zerwać świeży kwiat dla mamy. O tej porze mama wyszła już z domu do pracy w pralni, a wróci dopiero, gdy skończy popołudniową lub wieczorną zmianę w restauracji. Jeśli pracuje do późna, nie zobaczy się z synem, bo on będzie już spał. Taka sytuacja napełniała ją poczuciem winy, mama wiecznie wymyślała okropności, które mogły przytrafić się synowi, oskarżając się o to, że zostawia go samego na cały dzień, choć przecież nie miała wyboru. Jamie nabrał zwyczaju zostawiania mamie na stoliku kwiatka i karteczki z kilkoma miłymi słowami.

Tego ranka wiadomość była wyjątkowo długa i pełna gryzmołów, gdyż Jamie opisał szczegółowo swoją

przygodę z Harrym Hooperem. Potem zapakował do torby na ramię notes, długopisy i kanapki na lunch, i wyruszył z domu.

Pierwszym przystankiem był pomnik ku pamięci poległych żołnierzy na nabrzeżu Long Island*, jego ulubiona miejscówka w mieście. Jamie siadywał tam, spoglądając na wyspę Manhattan po przeciwnej stronie i sznur srebrzących się w słońcu drapaczy chmur. Teraz też usadowił się wygodnie i rozpostarł płachtę gazety.

Jak dotąd bieżący rok był prawdziwą karuzelą arcy-ciekawych nagłówków. Protesty i zamieszki, wojny i rewolucje, samoloty Concorde, rakiety kosmiczne i satelity... Nawet tu, w Nowym Jorku, doszło do serii tajemniczych wydarzeń – przestępstw, równie ekscytujących, co wprawiających w konsternację. Co dzień rano połowa ludzi na nabrzeżu czytała „Yorkera”, reszta zaś o tym gadała.

Dzisiaj było tak samo. Nagłówek na pierwszej stronie krzyczał o tajemniczym zniknięciu z garderoby teatralnej słynnej rosyjskiej aktorki, a doszło do tego tuż przed jej pierwszym solowym występem w USA. Zresztą od

* Long Island – jedna z kilkunastu wysp, na których położony jest Nowy Jork.

tygodni gazeta trąbiła o przybyciu artystki. Wybuchł ogromny skandal, a policja nie potrafiła ustalić żadnych szczegółów. Reszta wiadomości nie była bynajmniej nowinami, ale Jamie i tak przeczytał wszystko, aż do reklam na ostatnich stronach.

Po uważnym przeczytaniu gazety Jamie zabrał się do zadania numer dwa: swojej własnej działalności reporterskiej. Został mu jeszcze tydzień do wyszlifowania artykułu na konkurs na Młodego Reportera Roku. Zdobyć tego tytułu było największym pragnieniem Jamiego. Zwycięski tekst był publikowany na pierwszej stronie „Yorkera”, a jego autor otrzymywał także przywilej pisania niedzielnego felietonu do gazety, i to przez całutki rok. Była również nagroda pieniężna; gdy Jamie powiedział mamie, jak wysoka, mama zakrztusiła się kawą, i to nie na żarty. Jamie musiał walić ją długo po plecach, a rozlana kawa poplamiała wyjściową sukienkę mamy. Wtedy Jamie postanowił, że wygra ten konkurs.

Działo się to już trzy lata temu i jak dotąd nie został niestety zwycięzcą. W ubiegłym roku nagroda powędrowała do chłopaka nazwiskiem Sidney Blake, który przeprowadził wywiad z samym prezydentem Stanów

Zjednoczonych. Jego tata był bliskim kolegą głowy państwa, każdego lata pływali razem na jachcie. Jamiemu trudno było z tym rywalizować.

W tym roku miał jednak pewność, że wreszcie wygra konkurs. Jego kumpel Pepe, właściciel lokalu Bay Ridge Diner, dał mu bombowy materiał: wszystkie nowojorskie knajpki zamierzały w sierpniu strajkować, protestując przeciwko nowemu podatkowi od koktajli mlecznych. Plany te nie zostały na razie zdradzone dziennikarzom, więc to Jamie napisze o nich jako pierwszy. Otrzymał bowiem materiał n a w y ł ą c z n o ś ć.

Dzień upłynął mu na jeżdżeniu od knajpki do knajpki i namawianiu ludzi, żeby z nim pogadali. Był tym zajęty do późna; kiedy wracał już do lokalu Pepego, gdzie miał ostatni przystanek, niebo pociemniało i rzeka stała się czarna. Latarnie uliczne rzucały na jej powierzchnię złotawy poblask, a światła statków migotały zielenią i bielą. Brzegi innych wysp mieniły się własnym światłem.

Jamie nie przystanął, żeby podziwiać ten widok, bo za chwilę miały się zacząć wieczorne wiadomości. Wpadł do knajpki Pepego jak burza, żeby się nie spóźnić.

– Oho! – zawołał do niego Pepe. – Oto zjawia się mój ulubiony klient! – Wyprostował się z wilgotną ścierką w rękę i posłał Jamiemu uśmiech. Pepe przypominał zawsze odwrócony wykrzyknik, był bowiem bardzo wysoki i chudy i miał niedużą głowę, zupełnie jak kropkę. Byli starymi przyjaciółmi, a Pepe kochał świat reporterów i gazet równie mocno jak Jamie.

– Cześć – wysapał Jamie, wskakując na taboret przy barze i kołysząc się na nim, póki nie zakreśliło mu się lekko w głowie. – Pepe, nigdy nie zgadniesz, kogo dzisiaj spotkałem!

– Skoro nigdy nie zgadnę – odparł Pepe, opierając się łokciami o kontuar – to lepiej sam mi powiedz.

– Harry’ego Hoopera!

– CO?! Jak to?

Jamie opowiedział mu swoją poranną przygodę. Pepe tak się ucieszył, że zrobił mu od razu dwa koktajle, żeby uczcić wspaniałą okazję. Miał też chyba ze sto pytań; przy osiemdziesiątym piątym Jamie musiał mu przypomnieć, że pora włączyć telewizor na program *Dobranoc, Nowy Jorku*.

Pepe przewrócił oczami, nie przestając się jednak uśmiechać.

– Jesteś chyba jedyną osobą, która po przeczytaniu gazety ogląda jeszcze wieczorne wiadomości – powiedział. – Panna Bell traci reporterskiego nosa. Nigdy nie podaje informacji, której nie znałbym już z lektury „Yorkera”.

– Uważam, że nadal jest niezła – odparł lojalnie Jamie.

Pepe włączył odbiornik i Jamie zaczął oglądać świat na ekranie, popijając przy tym drugi koktajl.

W duchu przyznał przyjacielowi rację. Program był ostatnio rozczarowujący. Dawniej było inaczej; reporterka Cindy Bell wydawała się być zawsze o krok przed innymi. Cieszyła się tak wielką popularnością, że pozamykały się wszystkie gazety codzienne w Nowym Jorku, oczywiście poza „Yorkerem”. Ale to się zmieniło i odeszło w przeszłość. Program stał się sztafpowy. Cindy prowadziła go nadal w wielkim stylu: jasne włosy upięte na czubku głowy w skomplikowany kok doprawdy robiły wrażenie. Nie powiedziała jednak nic nowego na temat porwanej rosyjskiej aktorki, wszystko było już w gazecie porannej, nie przeprowadziła też żadnych wywiadów ani własnego śledztwa dziennikarskiego.

Na samym końcu pojawił się jednak jeden nowy materiał. Kiedy Jamie to usłyszał, zastygł z pełną koktajlu słomką w ustach.

Cindy popatrzyła prosto w obiektyw kamery z bardzo poważną miną.

„A teraz – powiedziała – mam porcję złych wieści na lato. Tanie nowojorskie restauracje zamierzają strajkować w sierpniu, protestując przeciwko podwyżce podatku od koktajli mlecznych. Ruszyliśmy w miasto, żeby dowiedzieć się więcej...”.

Jamie i Pepe gapili się w telewizor w pełnym zgromy milczeniu, słuchając wywiadu Cindy z ponurym właścicielem taniej knajpki. Zabrzmiała muzyka na koniec programu, a oni nawet nie drgnęli. Gdy zaczęły się reklamy, z trudem oderwali wzrok od ekranu, lecz nie przerwali milczenia. Co zresztą mieliby rzec? To miał być wielki temat Jamiego, ale Cindy zdobyła go wcześniej.

Pepe wyłączył odbiornik. W lokalu zaległa dzwoniąca w uszach cisza.

– Ktoś zrobił klasyczny przeciek – powiedział w końcu Jamie. – Ktoś miał za długi ozór.

– O rany, Jamie – bąknął Pepe, kładąc mu dłoń na ramieniu gestem pociechy. – Mimo to możesz zgłosić swój tekst, no nie?

– To nie będzie to samo – odparł żałośnie Jamie. – Nie puszczę im tego płazem. To był m ó j materiał, na wyłączność. W dodatku został mi tylko tydzień.

Pepe westchnął ciężko, bo Jamie miał rację.

– Jeszcze jeden koktajl czekoladowy? – zaproponował.

– Chętnie – odrzekł Jamie. – Dzięki, Pepe. – Usiadł z brodą opartą na rękach.

Po chwili Pepe postawił przed nim wysoką szklankę z mleczną pianą na wierzchu i popatrzył mu prosto w oczy. Ponieważ miał ponad dwa metry wzrostu, wymagało to zgięcia się w pół i podparcia łokciami o kontuar, mimo to Pepe nie stracił nic ze swojej powagi.

– Posłuchaj mnie, Jamie. Wygrasz ten konkurs – zaczął. – Poznałeś dziś rano samego Harry’ego Hoopera! A on coś w tobie zobaczył, dostrzegł cechy wielkiego reportera. Zaprosił cię do pokoju redakcji informacyjnej! Zobaczysz siedzibę „Yorkera”, kto wie, na co się tam natkniesz! Gwarantuję ci, że po dniu spędzonym w wydawnictwie wpadniesz na jakiś pomysł. Wpadniesz na ś w i e t n y pomysł.

Jamie skinął głową. Wciąż jeszcze czuł rozczarowanie, ale w jego naturze nie leżało smucenie się przez

długi czas, gdyż nie lubił tkwić w miejscu. Przestał zwisać z brodą na rękach, siorbnął przez słomkę koktajlu i zawołał:

– Dzięki, Pepe, jasne. Na pewno coś wymyślę. Przypuszczam, że uda mi się wpaść w „Yorkerze” na jakiś niezły pomysł.

Okazało się, że to przypuszczenie było wręcz przerażająco prorocze.

Na swój sposób.

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie
rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej
przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiegolwiek zmiany w zawartości publikacji
bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.**

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!

Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl